NUMER 8. LWÓW, DNIA 1. CZERWCA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wyno
w Austryi rocznie półrocznie 1 K, kw talnie 50 hal.
W Królestwie 2 rubl
W Niemczech 2 ma
We Francyi i w Sz caryi 3 franki.
W Ameryce pół dol

Numer pojedyncz 10 halerzy.

Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.



Historya małpki.

(z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Chłopak zarumienił się i spuścił oczy, a biedna Lulu dostawała nowe razy.

Włoch wędrował z Lulu w każdy dzień pogodny. Małpa głodowała często, czasem tylko litowali się nad nią ludzie i dawali co do zjedzenia.

Jedynie mały Pietro dzielił z nią swoje skromne śniadanie, głaskał ją powtarzając: „biedna ty, biedna!“ Lulu tuliła się do chłopca, jakby odwdzięczając mu się za pieszczoty. Nauka postępowała i ledwo zabrzmiał śpiew Włocha, Lulu przypominała sobie jego cieżką laskę i zaczynała z miejsca tańczyć i podskakiwać. Włoch wędrował z katarynką i teatrem lalek z bramy do bramy. Pietro prowadził na łańcuszku Lulu. Pochód zamykała żona kataryniarza, nieszczęśliwa, wycieńczona kobieta z małem dzieckiem na ręku. Za „komedyantami“ biegała cała zgraja uliczników. Smieli, się droczyli małpkę, i skakali z bezmyślną radością. Lulu w swym paradnym mundurze ze strachem oglądała tę zgraję. Teatrzyk ustawiono, obrzydliwe lalki zaczynały tańczyć, Pietro kręcił katarynką. Po lalkach przychodziła kolej na bladą kobietę, zachrypniętym głosem śpiewała ona smutną włoską pieśń. Lulu tłumaczyła ruchami treść pieśni, płakała, kiwała z wyrzutem głową, krzywiła się, tańczyła. Przy końcu Lulu kłaniała się po wojskowemu. Wszystko to wydawało się niektórym bardzo wesołem, a innym znowu bardzo smutnem.

Razu pewnego Lulu uparła się i nie chciała tańczyć. Gospodarz zaczął ją okładać laską. „[illegible]ak dręczyć biednego zwierzęcia“, rozległ się zirytowany głos i jakiś pan przecisnął się pomiędzy widzów i stanął koło Lulu: „popatrz się pan, w ten sposób można jej grzbiet złamać“.

Pan długo oglądał Lulu, jakby namyślając się, potem wziął kataryniarza pod ramię i cicho powiedział: „Czy nie sprzedał byś mi ją pan? kupiłbym małpkę, chętnie jeżeliby cena była przystępną“. I mimo, że cena była zanadto wygórowaną, pan przecież kupił Lulu. Lulu nie bardzo zmartwiła się rozłąką z rodziną kataryniarza — zadużo przecierpiała wśród niej. Pietro popłakał trochę, potem pocieszył się myślą, że Lulu u tego obcego pana z pewnością lepiej będzie, niż u jego ojca.

III.

Nowy gospodarz zabrał Lulu do siebie na wieś. Było gorące lato. Lulu jechała tarantasem po szerokiej dobrze ubitej szosie. Po jednej i drugiej stronie ciągnął się ciemny las. Wśród zieleni konarów skakały wesołe wiewiórki, wiatr przynosił ożywczą żywiczną woń i cudny aromat dzikich traw.

Lulu chciwie wdychała powietrze, czując się wolną, daleką od miasta, łańcuchów i klatek. Już widać kontury chałup wiejskich, już nie daleko i dworek, pogrążony w zieleni. W krótce tarantas stanął przed ganeczkiem. Dzieci, chłopczyk i dziewczynka wybiegły z domu na spotkanie ojca i zawisły mu na szyi. Za jego szeroką postacią wyglądał śmieszny pyszczek Lulu.

— Tatusiu co się tam porusza? — krzyknęły. — Wśród ogólnej wesołości zdjęli Lulu z tarantasa i pokazali ją matce, schodzącej właśnie z ganeczka. Małpka zamieszkała we dworku. Początkowo chcieli ją trzymać na uwięzi, ale Lulu zręcznie rozplątała węzeł i uciekła do o-

grodu. Nacieszywszy się wolnością i oglądnąwszy wszystkie zakątki, wróciła i pokornie usadowiła się u stóp dzieci.

— Popatrz się Broniu, jak nasza Lulu wygląda — zawołała rozśmieszona dziewczynka. Chłopczyk też nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Lulu była cała szara i kłująca jak jeż. Jakże się zmieniła jej zielonawo-bronzowa sierść. Cała była usiana kolcami bodjaków. Dzieci pokazały ją wszystkim w domu ku wielkiej uciesze.

Pewnego dnia zobaczyła Lulu ładnego kogutka. Nie namyślajac się długo podkradła się i złapała go. — Kogucik krzyczał, trzepał się a Lulu pieszczotliwie głaskała jego pierze. Nagle z za kąta wyskoczył ogromny pies Kastor, a za nim brudna kudłata Zuczka. Szczekając rzuciły się na Lulu. Małpka puściła kogutka i pędem uciekła na drzewo, a psy szczekając i wyjąc gnały za nią. Innym razem spodobał się Lulu kotek Micuś. Chcąc okazać mu swoją miłość, złapała go i pieściła. Niewdzięczne stworzenie podrapało ją w niesłychany sposób. Za karę odgryzła mu Lulu pazurki. Micuś krzyczał w niebogłosy, parobek nadbiegł i uratował niesfornego kotka.

Minęło kilka dni gdy wykryła się nowa sprawka. Mała właścicielka Lulu była w najbardziej różowym humorze, bo w ogrodzie słoneczko ładnie świeciło a dojrzałe soczyste porzeczki kusiły ją do siebie. Na około tyle było radości, jak w sercu małej Januszki. W tem słyszy ona cichy i jakby stłumiony płacz.

Janinka oglądnęła się i zobaczyła w sieniach płaczącą pokojówkę Marynię.

— Maryniu, cóż ci jest — mówiła przerażona Janinka, całując mokrą od łez twarz Maryni.

— Janinko kochana, zginęły srebrne łyżki, pudełko na cygara i twoja czerwona sukienka, rzeczy te były pod moim dozorem, niewiem co począć, podejrzenie padnie na mnie — co za hańba, co za hańba!

— Co mówisz, Maryniu! Ktoby ciebie mógł podejrzewać! — pocieszała dziewczynka.

Nazajutrz przechadzając się wczesnym rankiem po ogrodzie spostrzegła Janinka na ścieżce jakiś błyszczący przedmiot.

— Broniu! Broniu! — zawołała — jest łyżka! Za nim zdołała się schylić, wysunęła się z za krzaka giętka ręka i ukazała postać Lulu. Małpka chwyciła łyżkę i czmychła.

— Lulu! wołał Broniu, ale Lulu popędziła jak wicher wprost na strych. Dzieci biegły za nią bez tchu. Małpka wyskoczyła przez okienko ze strychu na dach. Dzieci pobiegły do matki i opowiedziały jej to. Wysłano na dach ludzi, którym udało się wreszcie ująć Lulu i odnaleść wszystkie zaginione przedmioty. Lulu umiała zawsze uzyskać przebaczenie za wszelkie psoty i ubawić wszystkich. Do dworka przyjechali goście. Lulu najspokojniej i zupełnie poważnie podała każdemu po kolei rękę, jak to zwyczajnie robią ludzie, witając się. Od tej chwili codziennie rano witano się z nią, jak z człowiekiem. Lulu jadła obiad przy stole i należy uznać, że zachowywała się bardzo przyzwoicie, siedziała obok dzieci, a usta obcierała serwetką. Lulu dostawała kieliszek wina i gdy Janinka podnosząc swoją szklankę z wodą sodową poważnie mówiła: „piję zdrowie Lulu“, małpka wstawała i z komicznem namaszczeniem uderzała kieliszkiem o szklankę.

(Dokończenie nastąpi.)

ANDERSEN.

LEN.

Bajka z duńskiego.

(Dokończenie.)

Rzeczywiście najpiękniejsze opowieści i poezye zapełniły cały papier a tylko jeden kleks go zaszpecił. Ludzie czytali z podziwem wszystko co było napisane na papierze, co było mądre i szlachetne, tak że pod wpływem czytania stawali się lepszymi i lepiej rozumiejącymi świat i życie.

— Ach! czyż śmiałem marzyć o tem, gdym był małym niebieskim kwiatkiem na polu! Czyż mogło mi kiedykolwiek przyjść na myśl, że będę kiedyś niósł radość i naukę między ludzi! Wprost nie umię pojąć, aby tak być mogło. Wszak robiłem tylko to, com wedle swych słabych sił zrobić potrafił, a jednak radość i szczęście towarzyszą mi bezustannie. Ilekroć pomyślę sobie: „Teraz już koniec piosenki“, wówczas właśnie rozpoczyna się dla mnie nowe, lepsze życie. „Teraz zapewne wyszlą mnie w podróż po całym świecie, ażeby wszyscy ludzie mogli się ze mną zapoznać. Nie sposób, aby było inaczej, przecież mam tyle przepięknych myśli co przedtem kwiatów niebieskich. Ach jak mi dobrze, jakżem szczęśliwy!

Nie wysłano papieru w podróż, lecz zaniesiono do drukarni i wówczas wszystko co na nim było napisane złożono czcionkami i wydrukowano w wielu setkach książek. W ten sposób znacznie więcej ludzi mogło mieć korzyść i przyjemność, niż gdyby rękopis krążył po całym świecie i uległ zniszczeniu w połowie drogi.

— Tak to przecież najlepiej pomyślał sobie papier. Że też mi to nie przyszło na myśl! Zostanę teraz w domu i wszyscy będą mnie czcili jak starego dziadzia — tych wszystkich nowych książek. Na mnie spoglądał ten, co wszystkie te piękne rzeczy napisał. Każde jego słowo z pod pióra wprost na mnie spływało! Jestem teraz najszczęśliwszym!

Potem związano papier w paczkę i wrzucono do beczki stojącej w praczkarni.

— Po dokonanym czynie, miło mi spocząć — rzekł papier. — Bardzo dobrze, że można trochę w spokoju zebrać myśli i zastanowić się nad sobą

Ciekawym co się teraz ze mną stanie? Pójdę dalej naprzód, bo taki jest, jak się przekonałem, los wszystkiego na świecie.

Pewnego razu wydobyto cały papier z ukrycia i rzucono do spalenia. Nie godzi się sprzedawać rękopisu na masło, powiadano. Dzieci z całego domu zbiegły się liczną gromadką bo każdo z nich chciało widzieć jak się papier pali, jak płomienie biją wysoko w górę, a później czerwone iskry gasną jedna po drugiej w popiele.

Papier palił się prędko. Och! jęknął i rozgorzał jasnym płomieniem. Ach! nie było to bynajmniej przyjemną rzeczą. Płomienie buchały tak wysoko w górę jak nigdy nie zdołały wznieść się niebieskie kwiatki lnu; jaśniały tak mocno jak tego żadna sztuka płótna nie potrafi. Wszystkie pisane litery przez chwilę poczerwieniały i wszystkie słowa i myśli stały się niebawem pastwą płomieni.

— Teraz idę prosto ku słońcu — mówił płomień i zda się, że tysiące głosów powtórzyło to samo, a płomienie uniosły się w górę, przez komin. — W powietrzu rozprzestrzeniły się drobniutkie cząsteczki dymu delikatniejsze niż płomień, niewidzialne dla oka, a tak samo liczne jak kwiaty wśród lnu. Gdy płomień zgasł, został tylko popiół, po którym jeszcze raz poraz błyskały czerwone iskry. Dzieci uradowane tańczyły dokoła czerwonego popiołu i śpiewały żywo i wesoło: „Oto koniec piosenki, koniec piosenki".

Lecz wszystkie wiewidzialne cząsteczki dymu pomyślały sobie: „Piosenka nie kończy się nigdy! I to jest najpiękniejsze ze wszystkiego. My wiemy o tem i dlatego jesteśmy najszczęśliwszemi".

Ale tego dzieci nie mogły ani słyszeć, ani zrozumieć.

Władzia przyjaciel.

Ojciec Władzia był szewcem. Siedział przez cały dzień w warstacie na niskim swoim stołeczku, z oczami wlepionemi w mozolną robotę. W drugim kącie warstatu tak samo w milczeniu pracował młody czeladnik. Okropną jednostajność całego dnia przerywali tylko goście, którzy od czasu do czasu drzwi pracowni otwierali by poczynić zamówienia lub odebrać robotę. Rozmowa z gośćmi była dla ojca Władzia tylko dalszym ciągiem żmudnej pracy. Miał on jednak też rozrywkę swoją w warstacie. Rozrywką tą były ptaki. Lubił je i gromadził u siebie.

Wprost stołka na którym przez cały dzień przesiadywał, wisiała klatka z gilem. Ów gil miał najrozmaitsze przydomki. Czeladnik gdy był w wesołem usposobieniu nazywał go „chlubą rodziny", goście mawiali na niego „to duma majstra", a Władzio nigdy inaczej o nim nie mówił jak „mój przyjaciel".

Rzeczywiście gil ten był przyjacielem i chlubą rodziny, bo przedstawcie sobie urodził się w warstacie w klatce. Zdarza się to tak wyjątkowo, by gil, ptak w naszych lasach swobodnie żyjący mnożył się w klatce, że wielu ludzi nie wierzyło temu wcale. Inni jednak którzy majstra dłużej znali i przychodzili do niego w czasie gdy się gil nasz urodził, wierzyć musieli bo byli świadkami tego, że sie ptaszyna w domu wychował.

Obszerna klatka, która rodzicom jego za mieszkanie służyła wisiała w tem samem miejscu gdzie jego mieszkanko wisi obecnie. Majster lubił starego gila i szarą giliczkę, dawał im codziennie świeżej wody do picia i kąpieli, siemienia i niezapomniał o sałacie, mokrzycu, jagodach, a w lecie dawał im nawet owady. Klatka ich stała zawsze otworem, wylatywały z niej kilka razy dnia, uwijały się po całej pracowni ku wielkiemu zdziwieniu gości, a uciesze czeladnika, a na jedzenie i na noc same do niej wracały.

Ludzie pytali ze zdziwieniem.

— Jakże pan mógł tak ptaszki oswoić?

Majster sam dokładnie tego nie wiedział, a rzecz prosta — przyswoiły się, bo je lubił, a one to odczuwały. Zajmywał się niemi, mówił do nich, gwizdał, nie szczędził im pieszczot i pochwał wypowiedzianych łagodnym przyjaznym głosem, co je ogromnie cieszyło. Dość, że wdzięczne ptaszki czuły się u niego dobrze, tak dobrze, że razu pewnego samiczka w gniazdku w klatce umieszczonem złożyła jajka i opiekowała się niemi tak, jak gdyby była na wolności. Pewnego dnia z jednego z tych jajek wykłuło się małe ptaszę. Był to nasz gil.

Gdy przyszedł na świat, radość była nie do opisania. Co chwili zaglądano czy się ptaszek ma dobrze. Stary gil latał po izbie i łapał muchy któremi żywił swoje dziecko, czeladnik też ukradkiem muchy wyłapywał i kładł je na brzegu klatki by je ptaszki łatwiej znaleść mogły. Nawet ośmiomiesięcznego Władzia wyjmowano kilka razy dnia z kołyski by mu pokazać klatkę: „patrz Władziu — ptasiu, mały ptasiu".

Tak gil i Władzio wzrastali razem, mieli wspólne dzieciństwo. Ale gil — jeżeli się tak wyrazić można — przerósł Władzia. To jest, że Władzio był jeszcze malutkiem dzieckiem, gdy gil był już dorosłym ptaszkiem, a nawet czarne piórka na główce mu urosły jak u wszystkich dużych gilów. Gil lubił czepiać się łapkami drucików klatki. Wtedy Władzio wkładał paluszki między druty klatki i trącał ptaszka w brzuszek. Ptaszek jakby wiedział, że się dziecko z nim bawi, nie bał się i nie płoszył, tylko najspokojniej przeskakiwał na drugi drucik. Tu maleńki Władzio znowu zabawę rozpoczynał.

Czeladnik umiał pięknie gwizdać i uprzyjemniał sobie gwizdaniem robotę, gdy tylko gości w pracowni nie było. Gil przysłuchiwał się chętnie gwizdaniu chłopca. Kręcił przy tem główką, to jednem, to drugiem oczkiem patrzył

w stronę czeladnika. W końcu sam gwizdać próbował. Toż to była radość w pracowni! Czeladnik zachęcony tem starał się coraz lepiej gwizdać, często powtarzał tę samą melodyę. Gil powtarzał ją coraz lepiej, coraz dokładniej i czyściej, w końcu nauczył się jej doskonale. Z czasem nauczył się i innej melodyi, tym razem od majstra, który chciał także sztuki dokazać. Ptaszek wygwizdywał na przemian to jednę to drugą piosenkę i stał się sławnym na całej ulicy. Obce dzieci przybiegały do pracowni, prosząc, by im wolno było posłuchać gwiżdżącego gila, potem przychodzili i starsi.

Razu pewnego przyszedł jakiś obcy, przejezdny pan w interesie do warstatu. Majster pochwalił się oczywiście gilem. Obcy bez zdziwienia ale z wielką przyjemnością słuchał jego opowiadań, a gdy wysłuchał wszystkiego, począł sam opowiadać o gilu, którego trzymała jego ciotka. Była to starsza pani, żyjąca samotnie więc dużo czasu poświęcić mogła zajęciu się ptakiem. Okazywała mu przyjaźń swoją, troskliwość, zadowolenie, a ptak tak się do niej przywiązał, że gdy wyjechała na dłuższy czas, posmutniał ogromnie, przestał zupełnie śpiewać i gwizdać, Gdy powróciła, objawy radości u gila nie miały granic, trzepotał się żywo, śpiewał najpiękniejsze pieśni, uwijał się po klatce, wkońcu padł martwy na dno klatki. Uległ udarowi sercowemu z powodu zbyt silnego wrażenia.

Opowiadanie gościa ogromnie poruszyło wszystkich obecnych w pracowni.

„Gile to rzeczywiście nadzwyczajne ptaszki — mówił tenże dalej. — Podróżując raz przez Niemcy, widziałem u pewnego gospodarza gila, który przepięknie gwizdał. Ale tak był wyuczony, że gwizdał tylko wtedy, gdy jego pan przystąpił do klatki, zawołał go po imieniu i ukłonił mu się trzy razy. Ptak odpowiadał wtedy na ukłon i rozpoczynał gwizdanie. Skończywszy swoją piosenkę, czekał na pochwały i ogromnie się cieszył, gdy mu ich jego pan nie skąpił.

Władzio ciekawie patrzył na opowiadającego i słuchał go z ogromną uwagą. Pomimo, że szczerze lubił swojego gila, czuł, że wskutek opowiadań gościa przywiązuje się do ptaka coraz silniej.

STANISŁAW KRAMSZTYK.

Przewodnictwo ciepła.

(Przedrukowane za zezwoleniem autora).

Po rozmaitych ciałach ciepło rozchodzi się niejednakowo dobrze. Gdy drut metalowy, który trzymamy w ręce, wprowadzimy końcem drugim do płomienia, rozgrzeje się wkrótce na całej swej długości tak silnie, że będziemy musieli z rąk go wypuścić. Pałeczka zaś drewniana, na jednym końcu zapalona, bynajmniej nas nie parzy, dopóki płomień bezpośrednio ręki naszej nie dotknie. Metale więc są dobrymi przewodnikami ciepła, drzewo zaś nieprzewodnikiem.

Szybkie rozchodzenie się ciepła po dobrych przewodnikach uwidocznić może w sposób uderzający proste doświadczenie, wskazane na załączonej rycinie. Gałkę metalową owijamy chustką tak, aby w górnej części szczelnie do niej przylegała; jeżeli wtedy na chustce umieścimy węgiel rozżarzony, chustka się nie zatli, stykający się z nią bowiem metal odprowadza ciepło,



dostarczane przez węgiel, i nie dozwala się chustce rozgrzać do temperatury niezbędnej do jej zapłonięcia. Toż samo dzieje się, jeżeli pręt metalowy, gwóźdź lub klucz, owinięty nicią, wprowadzimy w płomień świecy, albo lepiej lampki spirytusowej: części nici, które dotykyją metalu, nie spłoną.

Niemniej pouczające są doświadczenia z kawałkiem siatki drucianej. Gdy płomień lampki spirytusowej lub gazu siatką taką naciśniemy, płomień przez oka jej nie przejdzie; lubo bowiem przedostają się nad nią gazy palne, są już tak oziębione, że nie płoną. Jeżeli ponad otwartym kranem palnika gazowego trzymamy siatkę tak, aby gaz przez nią przepływał, i gaz powyżej niej zapalimy, gaz pod siatką również płonąć nie będzie. Na tej zasadzie polega urządzenie lampy bezpieczeństwa górników.

NIE CHORUJ!

Napisał
Dr. med. Leon Bross.

(Ciąg dalszy.)

Ileż ludzi nie wie wcale o tem, że to bakterye właśnie powodują prawie wszystkie ciężkie choroby, jak dyfterye, szkarlatynę, odrę, ospę tyfus, suchoty itd. Bakterye dostają się do człowieka i prowadzą tam podwójną walkę:

Z jednej strony wyżerają poprostu kawałeczki ciała — o ile komórki nie pokonają ich pierwej. To nie miałoby jeszcze takiego znaczenia, bo części zniszczone są zwykle tak drobne, że widzieć je można tylko przy bardzo wielkiem powiększeniu. Ale przytem są bakterye bardzo niebezpieczne i dla innej przyczyny: wytwarzają trucizny, które mogą prędzej czy później zatruć człowieka.

Wiesz już, że człowiek daje radę tym truciznom — a jednak ulega im niekiedy! Niewidzialnemu wrogowi temu poddają się głównie organizmy biedaków źle odżywianych, nędznie mieszkających i miernie odzianych.

Tą straszną chorobą są suchoty. Jeżeli weźmiemy pod uwagę jakieś miasteczko, w którym mieszka powiedzmy 2500 ludzi, to z tych ludzi umiera rokrocznie na same suchoty conajmniej 10-ciu to znaczy, że każdy 250-ty człowiek umiera na suchoty. A jeżeli obliczymy w takim miasteczku wszystkich zmarłych na wszystkie możliwe choroby w ciągu roku, to wypadnie, że jeżeli na wszystkie choroby razem umarło 40-tu ludzi, to na same suchoty umarło 10-ciu, czyli że każdy czwarty zmarły był suchotnikiem. Jak widzisz więc, kochany Jasiu, jestto choroba straszna, która co roku bardzo wiele ludzi zabiera. Obliczono, że w mieście, które ma 25 tysięcy mieszkańców, umiera na suchoty koło 100 ludzi co roku; a w mieście z 50-cioma tysiącami mieszkańców umiera 200 ludzi; w mieście zaś z 100 tysiącami ludzi, umrze w jednym roku na same suchoty koło 400 i t. d.

Najłatwiej można się tej choroby nabawić, gdy się żyje w styczności z suchotnikiem. Toteż najczęściej nabywają ją ludzie, należący do rodziny suchotnika. Równie łatwo mogą nabyć suchoty posługacze szpitalni, lekarze, siostry miłosierdzia, praczki, które piorą bieliznę suchotnika, zwłaszcza chustki, do których pluje i t. d.

Choroba ta polega głównie na tem, że bakterye suchot dostają się do płuc, tam się osiedlają i nie tylko zatruwają stamtąd całe ciało, ale niszczą tak ważną dla człowieka część ciała, jak są płuca. Ponieważ ta choroba zajmuje głównie płuca, przeto przy kaszlu, wraz z flegmą i ślinami, wydostają się też często bakterye suchot, zwane także inaczej bakteryami gruźliczemi. Chorzy nieświadomi wypluwają taką flegmą na podłogę lub na bruk i flegma tam zasycha. Ludzie przechodząc rozcierają ją na pył. Unosi się ona potem w powietrzu wraz z kurzem ulicznym i zawartemi w nim bakteryami gruźliczemi. W pokoju suchotnika jest oczywiście mnóstwo takich bakteryi. Można więc łatwo wciągnąć je w siebie i zarazić się suchotami, jeżeli się jest w pokoju chorego podczas zamiatania kurzu, lub trzepania mebli, lub dywanów. Oczywiście można tak samo i na ulicy wraz z kurzem wciągnąć w siebie bakterye gruźlicze, bywa ich tam jednak stosunkowo mało. Można się też suchotami zarazić w wagonach kolejowych, fiakrach i tramwajach.

Widzisz więc kochany Jasiu, że sposobności do zarażenia się jest dość. Musisz się więc ogromnie wystrzegać kurzu. Dla tego to też radziłem Ci oddechać nosem. W nosie jest przybłonek, czyli pierwsza warstwa komórek, bardzo odporna i nie łatwo ulegająca bakteryom. Nadto można przy siąkaniu rozmaite nieczystości wraz z bakteryami znowu łatwo z nosa wydalić. Dla tego to radziłem Ci, gdy będziesz zmuszony podczas kurzu oddychać, abyś wtedy oddychał przez chustkę, bo przez chustkę łatwo przedostanie się powietrze, a kurz jako grubszy pozostanie na chustce.

Ażeby ludzi uchronić od szkodliwości kurzu, skrapia się po miastach bardzo często ulice, bo z dobrze skropionej ulicy kurz się nie uniesie. We wagonach kolejowych, w tramwajach, w niektórych teatrach i salach zebrań wywiesza się tablice z napisami „uprasza się nie pluć na podłogę“. Teraz zrozumiesz już dla czego się to robi. W szpitalach każdy chory ma obok siebie osobną spluwaczkę. W domach, gdzie mieszkają rozumni suchotnicy, są spluwaczki, wypełnione karbolem, w którym bakterye giną. Rozumni suchotnicy nigdy na ulicę nie plują, lecz do chustki. W niektórych restauracyach zniesiono serwetki do prania, a zamiast serwetek z płótna podają papierowe, które można spalić po użyciu. Jest to bardzo dobry zwyczaj, bo można się zarazić przez nie dobrze wypraną lub wcale niepraną serwetkę suchotnika.

Z tych samych powodów jest wielu ludzi przeciwnikami całowania się, a zwłaszcza z osobami choremi.

(Dokończenie nastąpi)

Kącik humorystyczny.

Janek poszedł z braciszkiem do menażeryi. Ogromnie uradowany zawołał wróciwszy do domu: mamusiu widziałem żywego słonia! teraz już wiem skąd się bierze słonina!

*

Anusia słyszała rozmowę rodziców. Mamusia mówiła do tatusia: „czekają mię zwierzenia Maryni, boję się tych zwierzeń.“

Słysząc to Anusia przybiegła bardzo oburzona- „Jak ty mówisz mamusiu, czy to ładnie aby taka duża osoba mówiła jak małe dziecko. Tylko małe dzieci mówią „zwierzeń“, — dorośli mówią „zwierzęta“, a całkiem dorośli mówią — bydło!“

*

Jagusia wyszedłszy w kwietniu do ogrodu z mamusią rzekła: „Już wiem — to słońce i pączki na drzewach, i trawka i niańki i wózki i dzieci — to jest wiosna.“

Kalendarzyk kieszonkowy.

Do artykułu „Kalendarz kieszonkowy“, który umieściliśmy w przeszłym numerze wkradła się przykra pomyłka. Cyfry dopisane na zegarku nie oznaczają w jaki dzień przypada pierwszy każdego miesiąca. Są to cyfry wynalezione na podstawie pewnych obliczeń po to, by za ich pomocą wyrachować można było, na jaki dzień wypadnie każda data w miesiącu. Obliczenia będą niemylne, jeżeli będą robione dokładnie wedle wskazówek podanych w „Promyku“. Cyfry dopisane na zegarku oznaczają ile dni dzieli pierwszy danego miesiąca od ubiegłego poniedziałku t. j. od najbliższego poniedziałku wstecz.

Rozwiązanie zagadek z nr. 7.

Łamigłówka:

s	t	o	k	o	n	i

Szarada: nic — noc.

Rozwiązanie zagadek nadesłali:
Wilhelm A. z Przemyśla, Ludwiś A. z Podgórza, Artur B. z Przemyśla. Mila F. ze Lwowa, Leontyna B. z Kołomyi, Marya C. z Tarnopola, Julian E. ze Lwowa Wiluś F. z Tarnopola, Marya J. ze Stanisławowa, Adaś K. z Krakowa, Donia M. z Tarnopola, Stanisława O. z Przemyśla, Oleś P. z Tarnopola, Eliza R. z Tarnopola, Staś S z Przemyśla, Henryk S. z Brodów, Witek T. z Kossowa, Władysław W. ze Złoczowa, Romcio Z. ze Lwowa, Leon M. ze Stanisławowa, Olga C. z Przemyśla, Fabian R. z Jasła, Elżbieta S. z Niżborga, Maryan R. ze Stanisławowa, Izydor R. ze Lwowa, Lusia L. z Tarnopola, Marya H. z Przemyśla, Renée A. z Przemyśla, Regina 0 z Przemyśla, Helusia R. z Tarnopola, Jadzia B. z Krakowa.

„Opowiadanie Wróbelka“ dostaje Elżbieta S. w Niżborgu.

Zagadki na konkurs nadesłali: *Ludwiś A. z Podgórza, Artur B. z Przemyśla, Leontyna B. z Kołomyi, Marya H. z Przemyśla, Oleś P. z Tarnopola, Henryk S. z Brodów, Wiluś F. z Tarnopola, Leon M. ze Stanisławowa, Elżbieta S. z Niżborga, Maryan R. ze Stanislawowa, Biała Lilijka ze Lwowa, Franciszka C z Przemyśla i Renée A. z Przemyśla.*

Puszkę botaniczną dostaje Leon M. ze Stanisławowa, który nadesłał nam dużo, bardzo udatnych zagadek.

Zwracamy uwagę Czytelników, że drukować możemy tylko te łamigłówki sylabowe, których tak początkowe jak i końcowe litery układają się w pewien wyraz.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Przed kilkoma dniami przysłała nam Zosia L. bajeczkę o grzecznym Stasiu, który „idąc na spacer chciał się przeczesać i wziął szczotkę ojca. Wracając do pokoju sypialnego podrzucał szczotką, w tem szczotka spadła i kość słoniowa stłukła się. Rano gdy ojciec się czesał zobaczył stłuczoną kość słoniową, zawołał Stasia i zapytał kto stłukł kość słoniową, a Staś odważnie odpowiedział: ojcze ja stłukłem kość słoniową, Ojciec rzekł: synu mój dobrześ zrobił żeś się przyznał, za to nie dam tobie żadnej kary“.

Wiemy że Zosia jest małą dziewczynką i cieszymy się bardzo, że pisze już prawie bez błędów. Tylko kochana Zosiu, szczotki do włosów bywają zwyczajnie z drewnianą rączką, bez słoniowej kości, więc wiele dzieci, które takiej szczotki nie widziały, nie rozumiałyby co Zosia o tej szczotce pisze. Powtóre jeżeli tatuś o co pytał, to jest rzeczą tak naturalną, że mu dziecko prawdę od razu odpowiada, że niema w tem nic szczególnego, ani nic nadzwyczajnego. Szczególnem i dziwnem by było gdyby Staś był nie powiedział ojcu, że on stłukł szczotkę. Tatuś woli wytłumaczyć dla czego szkody robić nie należy aniżeli karać, bo tatuś kocha swoje dzieci i nie chce im wyrządzić przykrości. Przecież bardzo mało jest takich dzieci, z któremi sobie po dobremu rady dać nie można i trzeba je aż karać.

Fabianowi R. w Jaśle. Czy na innych planetach, prócz ziemi mieszkają ludzie? Trudne to pytanie — nie odpowie na to żaden uczony. Gwiazdy są tak odległe, że nie wiemy wcale co się na nich dzieje — wszystko co o nich słyszymy lub czytamy, są to domysły oparte na porównaniu z naszą ziemią. Nawet najlepszy teleskop nie podaje nam szczegółowego obrazu — bo jakże potężne musiałyby być szkła, które by nam dokładnie wszystko wskazywały! Gdy wchodzimy na szczyt góry, albo na wieżę, wydają się nam ludzie z dołu drobnymi — jak mrówki, a jednak w porównaniu do tego oddalenia, jest oddalenie ziemi od gwiazd wprost olbrzymiem. Wszelkie opowiadania o tem, że widziano ludzi na Marsie, są nieprawdziwe. Tego zupełnie widzieć nie można.

Co do opadów wodnych i powietrza — znajdują się one pewnie na niektórych planetach. Ale ponieważ nie znamy dokładnie ani temperatury okolic na planetach, ani ilości wody i powietrza, ani stanu pogody i słoty, ani siły, z jaką planety przyciągają przedmioty, które się na nich znajdują i t. d., niepodobna powiedzieć, czy istoty żyjące, o ile są na planetach tych, podobnemi są do naszych roślin i zwierząt.

Wystarczy drobny przykład; Jeżeli nasienie zwykłej niezapominajki polnej, która wzrosła na suchej, słonecznej łące a ma wątłą łodyżkę, drobniutkie listeczki i kwiat dużo mniej piękny od niezapominajki błotnej, zasiejemy

na moczarach — wyrośnie roślinka soczysta o szerokich listkach, bardziej podobna do niezapominajki błotnej niż łąkowej. Drobna zmiana miejsca, spowodowała olbrzymią zmianę w rozwoju roślinki. Jeżeli z równych ziaren, posiejemy jedne na łące, drugie w cieniu lasu, trzecie w moczary, czwarte na szczycie gory, piąte w ciepłych krajach i t. d. — otrzymamy roślinki, które będą się bardzo różniły od siebie. Jakże by różną dopiero musiałaby być ta roślina, którą zdołalibyśmy zasiać na innej planecie?

Nieznajomej dziewczynce w Kołomyi. Panienka już po raz trzeci do nas pisze, ale nazwiska przecież umieścić nie możemy między tymi, którzy zagadki rozwiązali, ponieważ się panienka nie podpisuje na listach. Proszę napisać nam jak się panienka nazywa, a chętnie wydrukujemy.

Musi W. w Rzeszowie. Z kartki od Musi widać, że Musia jest rozsądną dziewczynką, która umie myśleć i zagadki ładnie rozwiązywać.

Reneé A. w Przemyślu. Odpowiedź w numerze.

Od Redakcyi.

W nagrodę za najlepsze rozwiązanie obok umieszczonych zagadek poszlemy piłkę gumową, która bardzo dobrze skacze. Można ją dowolnie samemu napełnić powietrzem, lub też powietrze z niej wypuścić i schować ją do kieszeni.

Łamigłówka.

Zagadki Leona M. nagrodzone na konkursie „Promyka“:

Dwa „Promyki“.

1	P					
2		r				
3			o			
4				m		
5					y	
6						k

1	P						1
2		r					2
3			o				3
4				m			4
5					y		5
6						k	6

Jeden kwadrat należy wypełnić nazwami miast Galicyi, a drugi nazwami krajów z różnych części ziemi, zostawiając w obu napis „Promyk“.

Szarada.

Z „ą“ między ścianami,
Z „i“ między szybami,
Z „o“ jest zwierz domowy,
Z „a“ to człek surowy.

Kącik dla małych dzieci.

Dzięcioł.

Zawitała wiosna
Zieleni się sosna
Dzięcioł w dzewo stuka
I robaków szuka.

Zabawa woreczkiem.

Mamusia przyniosła raz z miasta czereśnie, były one w papierowym woreczku. Dzieci zajadały je chętnie, ale płukały je wprzód we wodzie, bo czereśnie są zaswsze brudne i zakurzone, a brudnych rzeczy jeść przecież nie można!

Wypluwały też grzecznie pestki bo pestki są nie zdrowe.

Gdy pozostał tylko pusty woreczek Janek wziął go do rączki i zawołał:

— Kto wymyśli najlepszą zabawę, temu dam woreczek.

— Ja zrobię z niego kapelusz — powiedział Staś i włożył woreczek na głowę.

— Ja sukienkę dla lalki — prosiła Anusia.

— Ja zarękawek — dorzuciła Kazia.

— A ja będę strzelał z woreczka! — rzekł Tusio.

— Dobrze! Dobrze! zawołały wszystkie dzieci.

— Tusio przybliżył woreczek do ust i wdmuchał do niego powietrze.

— Papierowy woreczek napęczniał cały, jak gdyby go czemś napełniono.

Oczywiście Tusio napełnił go powietrzem.

Tusio zamknął otwór woreczka jedną rączką, aby powietrze nie uleciało a drugą uderzył mocno w woreczek.

Woreczek pękł i całe powietrze z woreczka przecisnęło się nagle przez podarte miejsce i wyszło z wielkim hukiem.

Tak to Tusio strzelał z woreczka.

Kwiatki w doniczkach.

Tatuś przyrzekł Wicusiowi i Lili, że da im doniczki ze ziemią, i pozwoli zasiać w nich nasienia roślinek, polewać je i pielęgnować.

Dzieci czekały niecierpliwie na ten własny, pokojowy ogródek.

Razu pewnego przyniósł im tatuś dwie doniczki napełnione pulchną ogrodową ziemią i rzekł: Nie kupiłem nasion, bo późno już i sklepy pozamykane, ale zasadzimy do waszych doniczek te nasiona, które znajdziemy w domu.

— Nie mamy nasion w domu — powiedziały smutno dzieci.

Są w domu nasiona ładnych roślinek tylko wy nic o nich nie wiecie — rzekł tatuś.

Dzieci zdziwiły się tem bardzo.

Tatuś poprosił mamusi, a mamusia przyniosła ze szafy spiżarnianej parę ziarnek grochu i fasoli.

— To są nasiona? — pytały dzieci.

— Tak jest, to są zdrowe i smaczne do jedzenia nasiona roślinek.

Lili zasadziła groszek do jednej doniczki, a Wicuś fasolkę do drugiej. Podlały je potem dzieci wodą ze szklanki i postawiły na oknie. Odtąd przez wiele dni co wieczora polewały dzieci swoje doniczki i bardzo się niecierpliwiły i niepokoiły, że roślinki w nich nie wyrastają.

Raz rano zobaczył Wicuś, że całkiem, całkiem maluchna roślinka z ziemi już wyrasta. Na drugi dzień była już większa. Na trzeci dzień było już więcej maluchnych roślinek w doniczce. Dzieci zauważyły, że co dzień roślinki są większe. Miały one z początku dwa listki, potem łodyżkę, potem znowu listki. Tatuś ustrugał drewniane podpórki i wsadził je w doniczki.

Roślinki rosły i wiły się około podpórek. W lecie roślinki zakwitły. Fasolki kwiat był czerwony wyglądał zdaleka jak malutki czerwony, motylek. Tych kwiatków było coraz więcej. Kwiatki grochu były białe i wyglądały też jak motylki. Dzieci urywały czasem kwiatki swoje i darowywały je tatusiowi i mamusi. Bardzo je to cieszyło że mogą rodzicom coś darować. Kwiatki których dzieci nie zerwały więdły i upadały. Każdy kwiatek gdy wyrośnie — więdnie i upada — to znaczy przekwita. Tatuś mówił, że gdy groch rośnie w ogrodzie w ziemi, nie w doniczce, to gdy przekwitnie, zostaje na roślince w miejscu kwiatka zielony malutki słupek. Ten słupek rośnie a potem dojrzewa i robi się z niego owoc. Owoc grochu i fasoli i innych podobnych roślinek nazywa się strączką. Strączka jest wąska, długa i zielona, a w strączce we środku jest nasienie: w strączce grochu są ziarnka grochu; w strączce fasoli — ziarnka fasoli.

Wicuś i Lili żałowali bardzo, że w doniczce ziarnek grochu i fasoli wyhodować nie mogą.

BOCIANY.

Tak było ciepło, że mamusia pozwoliła dzieciom usiąść w ogródku na ziemi. Mamusia kupiła dużo czystego piasku, kazała wysypać go w ogródku i pozwoliła się dzieciom nim bawić. Dzieci lubią to bardzo. Na drodze w ogrodzie miejskim nie wolno się dzieciom bawić piaskiem, bo jest on tam brudny i spruszony, a chorzy ludzie i chore dzieci do niego plują. Gdy się dzieci bawią brudnym piaskiem, to mogą łatwo dostać kaszlu, kataru lub bolu gardła. Ale czystym piaskiem bawić się wolno. Dzieci przesypują go z jednego naczynia do drugiego, niby gotują dla lalki obiadek „piaskowy“, albo rysują sobie na piasku.

Gdy się tak dzieci bawiły przeleciał nad ich głowami ogromny ptak, wiekszy od wrony i większy od kruka, bardzo duży. Miał skrzydła białe i czarne, długie, długie nogi i długi, długi dziób.

— Cio to? — zawołał bardzo przestraszony Tadzio.

Mamusia była właśnie w oknie więc odpowiedziała mu: To bocian.

— Bocian? — powtórzył zdziwiony Henryś i ciekawie popatrzył w górę gdzie z daleka widzieć jeszcze można było bociana.

— A skąd on leci? — spytała Zosia.

— Bocian mieszka na chacie Wojciecha na dachu. Razu pewnego miał Wojciech stare, niepotrzebne koło od wozu. Położył go na dachu. Bocian przyleciał i przyniósł w swoim dziobie trochę słomy, potem znowu poleciał i przyniósł cienkich suchych gałęzi, potem trawy. To wszystko pooplatał dookoła koła i zrobił z tego na kole gniazdeczko i tam sobie mieszka ze swojemi dziećmi, małemi bocianami.

— To tak jakby bocian mieszkał na pierwszem piątrze, a Wojciech w parterze — zażartował Henryś.

— A dlaczego nigdyśmy go nie widzieli aż dopiero dzisiaj? spytała Zosia mamusi.

— Bo teraz jest wiosna, a pierwej była zima — rzekła mamusia. — W zimie śnieg leżał dookoła i było bardzo zimno. Bocian zimna nie znosi i gdy u nas zima robić się zaczyna — odlatują wszystkie bociany bardzo daleko do takiej ziemi, na której zawsze jest ciepło i na której nigdy nie ma śniegu. Dopiero gdy u nas nastaje wiosna i ciepło, wracają bociany do nas, do swoich mieszkań, i zostają z nami już przez całe lato. Ten bocian, który teraz tędy przeleciał mieszka zawsze na chacie Wojciecha.

Dzieci popatrzyły się w tamtą stronę. Zdaleka widzieć można było dach chaty Wojciecha. Na dachu było ogromne gniazdo bocianie, takie wielkie jak koło. Na gnieździe stał bocian. Stał na jednej nodze, drugą skulił pod siebie. Otworzył swój długi, ogromny dziób i górną jego częścią uderzał szybko o dolną, tak, że się zdawało dzieciom jakby on wołał: „kle, kle, kle, kle“. To znaczy, że bocian klekoce.

Wydawc. i odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.